

Wisiał przez chwilę nad brzegiem torowiska. Niezdecydowany szurał podeszwą, o krawędź peronu, patrząc w dół. W końcu zeskoczył i zrobił dwa kroki, łapiąc równowagę na nierównej powierzchni. Rozejrzał się i nabierając powietrza głęboko w płuca, podszedł szybko do leżącego na torach człowieka. Był wątyły, i na tyle, na ile mógł dojrzeć w mroku metra, blade. Todd dawał mu na oko około osiemdziesięciu lat. Miał na sobie dobrze skrojony, czarny płaszcz, który rozlewał się teraz wokół leżącego, jak plama krwi na czarno-białym filmie. Był tak bardzo różny od Todda, że ten aż się skrzywił. Spojrzał po sobie. Wytarta wiatrówka, brudne, kiedyś niebieskie, jeansy, rozklekotane adidas z drugiej ręki. Poczul się dwa razy bardziej brudny niż zwykle. Zwłaszcza, że...

Pochylił się nad leżącym i wsunął dłonie pod poły płaszcza. Błądził palcami, poszukując charakterystycznych zgrubień. Facet miał na sobie elegancki garnitur, po którym palce prześlizgiwały się, wzbudzając u Todda niepokój. W końcu trafił na to, czego szukał. Zaciskając dłonie na zdobyczy, odskoczył od leżącego jak oparzony. Mężczyzna żył. Lekko rozchylił powieki, wydobywając z siebie nieokreślony dźwięk. Gdzieś z oddali, dochodziło obiecujące śmierć dudnienie. Todd z przerażeniem patrzył na człowieka, który poruszył dłońmi podciągając je pod siebie. Chciał wstać.

Chłopak spojrzał na portfel w swojej dłoni, potem na mężczyznę podciągającego nogi pod siebie. Oczy, zakotwiczone w zniszczonej twarzy jak czarne węgielki, wpatrywały się w złodzieja.

Niebieska wiatrówka załopotała w gwałtownych ruchach kieszonkowca, kiedy wspinał się na peron, uciekając od tego człowieka jak od zmory. Starzec odprowadzał go tępym, wymownym spojrzeniem. Chwilę potem nadjechał pociąg.

Todd dopiero teraz odkrył, jak ciężko oddycha. Łapczywie połykał hausty powietrza. Oparł się o wyłożoną jasnymi płytkami ścianę, i zsunął po niej. Nie podobało mu się to, co zobaczył. Nie podobało mu się to, w jaki sposób kończył się ten dzień. Na ścianie, po drugiej stronie torowiska, błyszczał w świetle jarzeniówek rozbryzg. Wyglądał przeciętnie na tle innych, które powstały przy okazji pracy grafficiarzy. Ta smuga była zrobiona krwią.

Siedział jeszcze chwilę i uspokajał oddech. Było już przed północą, a peron cichy i pusty. Todd tarł oczy, układając rzeczywistość.

- I czemu tu jeszcze siedzisz, idioto? – mruknął sam do siebie.

Mrugał powiekami, które posklejały się od tarcia i potu. Coś dziwnego zamajaczyło mu w polu widzenia. W końcu rozszerzył oczy, walcząc z rozmazanym obrazem, i przyjrzał się uważniej. Zza krawędzi peronu wypływał jakiś cień. Nie, nie cień. Nie był pewien. Coś podobnego do smużki, która wciskając się pomiędzy płytki, tonąc w ciemniejszym kolorze fugi, ukrywała swoją obecność. Dziwnym pulsowaniem, pozostawała gdzieś na peryferiach świadomości. Patrzył w tę fugę, wyężdżając wzrok aż do bólu. Wsparł się na rękach i wciąż oparty o ścianę, wstał. Ciągłe wbijał wzrok w omam.

„Nic tam przecież nie ma...”, mamrotał. „Nic przecież nie widać...”.

I wtedy smużka wystąpiła z koleiny spoin. Zafalowała tanecznie, jakby z pokonywaniem kolejnych centymetrów, zyskiwała energii i witalności. Jakby postanowiła objawić swoje istnienie Toddowi.

Wpatrywał się nadal w to zjawisko, nie pojmując co się dzieje, a więc tymczasem unosiła się, pociągając za sobą następne. Jej bezcielesność grubiała, w swojej półprzezroczystości topiąc światło. Przerażenie odebrało mu zdolność myślenia. Nie był pijany, wiedział, że to co się dzieje, albo dzieje się naprawdę, albo ktoś naszprycował go jakimś świństwem. Zamachał nogą, obutą w zniszczonego adidas, przed wijącą się istotą, a poruszające się jak żywa trawa nici, odchyliły się jakby w lęku. To ośmieliło Todda. Postanowił uciekać.

Nigdy nie należał do odważnych, a do ucieczki też trzeba nazbierać odpowiednią ilość brawury i adrenaliny. Odkleił się od ściany i ruszył ku najbliższemu wyjściu. Nie były to główne schody, ale Todd na tyle dobrze znał metro, że znał wszystkie awaryjne drogi ucieczki. Często ich używał. Pomknął zatem

ku najbliższemu wyjściu, jednocześnie wciskając skradziony portfel za pazuchę niebieskiej kurtki. Miał omamy, to oczywiste. Najlepiej będzie, jak wróci do domu. Najszybciej, jak to możliwe. Nie oglądając się za siebie biegl, porzucając za sobą peron, martwego człowieka i urojenia.

Kręcił się po kuchni szukając czegoś, co dałoby się przekąsić. Nie był głody, po prostu miał na coś ochotę. Szperał w szafkach, czując, że jakieś niezidentyfikowane pytanie kołocze mu się w głowie i nie daje spokoju. Dzwoniło jak upierdliwy świerszcz, o którym wiesz, że jest za szafką, ale i tak nie możesz go zlokalizować.

W końcu wyciągnął z lodówki lody, które matka pewnie kupiła dla Trinie, ale miał to głęboko w dupie. Jak wszystko dzisiaj. Opadł na kanapę przed telewizorem i zamieszał łyżką w wiaderku z lodami. Nagle znieruchomiał. Wiedział już, co mu nie dawało spokoju.

Pociąg miał się zatrzymać. Przecież na niego czekał. Początkowo miał udać się do centrum miasta, dopiero ta okazja rozorała jego plany na wieczór. A pociąg przejechał nie zatrzymując się. Jak to, nie zatrzymując się? A co za tym idzie... Nie zauważyli, że przejechali człowieka? Nic?

Mieszał łyżką w lodach czekoladowych i rozmyślał chwilę. W końcu odstawił kubełek na ławę i wrócił do przedpokoju. Wyjął ze sfatygowanej, niebieskiej kurtki portfel. Oglądając go, po omacku wrócił na kanapę. Otworzył go. Wyjmował różne karty: płatnicze, uczestnika tego, czy tamtego klubu, konkursowe i kładł je obok lodów, na stole. Gruby plik pieniędzy, po raz kolejny, rozjaśnił mu twarz, potem odszukał dokumenty.

„Richard Grett”, Todd odczytał z dowodu. Przejrzał resztę danych. Facet mieszkał w południowej części Chicago. Jak na taki adres, miał naprawdę drogie ubranie. Chłopak odłożył w końcu portfel na ławę i sięgnął po lody. Trinie była u dziadków, matka w pracy, miał jeszcze chwilę spokoju, nim wróci. Zarzucił nogi na stół i znów zamieszał łyżką w, nieco już rozpuszczonych, lodach. Coś zatańczyło mu na granicy wzroku. Obrócił się gwałtownie, usiłując pochwycić ten ruch. Bezowocnie. Sapnął zły. Naprawdę dość już miał wrażeń tego dnia. Obrócił się do telewizora i wtedy to coś, wdarło się do jego gardła.

Nawet jeżeli próbowałby krzyczeć, nikt tych prób by nie dosłyszał. Oczy, wytrzeszczone z przerażenia zezowały na obłą wić, która wierzgając drobnymi mackami wyrastającymi jej z korpusu, wpelzała coraz bardziej w głąb jego gardła. Dławiony odruchami wymiotnymi, czuł, jak jego żołądek faluje z obrzydzenia, oddychało mu się coraz trudniej. Uczucie duszenia wżynającym się weń stworem, połączone z histerią, uderzały nim o granicę świadomości. Nigdy nie przypuszczał, że kiedyś zapragnie zemdleć.

Nie zemdlał jednak. Nie zamknął nawet oczu, coś mu nie pozwoliło. Czuł, jak stworzenie, mimo, że półprzeźroczyste wypełnia jego przelyk szczelnie. Czuł, jak drobnymi wypustkami, czy mackami, penetruje jego żołądek. Zgiął się w pół, kiedy rozdarła jego ścianki i wpelzła w otrzewną, ślizgając się pod błoną, która podtrzymuje organy na miejscu. Bał się dotykać brzucha, miał wrażenie, że stworzenie wije się pod skórą widocznie. Jęczał z bólu, a odkrył, że to coś wdiera się nie tylko w jego trzewia, ale także w głowę. Wszystkimi nerwami odbierał, jak mnoga ilość kłujących, jak szpilki macek, wpelza pod skórę na karku, w górę. Włączały się w krwioobieg, kłuły w setkach miejsc w skroniach, u podstawy czaszki, w głębi. Zaraz potem, cały jego organizm wyewoluował w zmutowany akt bólu. Tego ciało już nie uniosło i opadł bezwładnie, zsuwając się pod kanapę.

Obrazy tańczyły mu przed oczyma. Zamglone i blade światło w uliczce, rozmazywało mu się w surrealistyczne plamy. Był tak bardzo zmęczony. Tak bardzo wycieńczony...

Otulił się w długi, czarny płaszcz. Pamiętał, jaki był dumy, kiedy go kupił. Teraz zasłaniał nim wychudzone ciało. Zaciśnięte na materiale dłonie były sine, a grube, granatowe żyły wiły się pod przeźroczystą skórą nieprzyjemnie. Przygarbiona postura i toczące ciało widoczna choroba, nadawały mu

wygląd podstarzałego, zniszczonego człowieka, który ledwie radzi sobie z każdym następnym dniem. Utykając, zmierzał ciemną uliczką ku drzwiom, znajdującym się na jej końcu. Wisiała na nich mała tabliczka, z tego miejsca nieczytelna.

Od roku snuł się po ziemi, nie wiedząc co robi, po co, i dlaczego. Jego dni toczyły się jeden za drugim, jak bolesne tortury. Od roku nie przełknął ani jednego kęsa jedzenia, nie spał ani jednej kropli wody. Nawet kiedy wystawiał twarz na deszcz, usta jakby sznurowały się, nie wpuszczając nawet tej odrobiny wilgoci. Od roku, kiedy tylko obrzucił spojrzeniem rogalik leżący na cukiernianej wystawie, trzewia wybebeszały go, zginając ciało w pół. Wkrótce przestał bywać między ludźmi, którzy wciąż coś jedli, pili, wachali, reklamowali, sprzedawali... To, co się potem działo napawało go lękiem i obrzydzeniem, czuł jakby dawał w torsjach życie demonom. Bał się myśleć nad tym. Bał się zastanawiać, czy są takie same, jak ich pierwowzór.

Szedł powoli podpierając się o ścianę. Oddychał ciężko. Miał wrażenie, że czas stanął. Coś podpowiadało mu, że oto nadszedł kres jego cierpienia. Że cokolwiek uczyniło z niego cień istoty ludzkiej – zdecydowało odpuścić. Kiedy o tym myślał, ciało ogarnął spokój. Zdezorientowany tym uczuciem, które tyle czasu było mu totalnie obce, potknął się i upadł. Czuł jak policzek zanurza się w małej kałuży, przybrudzonej błotem i benzyną. Rozchylił usta i wpuścił nieco tej brudnej mieszanki. Pozwoliło!

Ileż lat usiłował pozbyć się tej istoty drażącej jego ciało. Tak długo szukał źródeł tego, co go spotkało. Wczoraj znalazł adres. Tam, za tymi drzwiami jest ktoś, kto wie co mnie draży, kto wie, jak mu pomóc. Łapczywie nabrał wody w usta i szybko przełknął, zamykając oczy. Wilgoć aż paliła jego przełyk. W końcu... Po tak długim czasie.

Leżał napawając się euforią, kiedy padł na niego cień. Bardziej czuł to, niż widział. Po chwili czyjeś dłonie zaczęły pełzać po jego wychudzonym ciele, szukając. Wiedział czego szuka ten człowiek. Wiedział też co znajdzie. Nie miał sił się odezwać, otworzył tylko oczy i spojrzał na pochylającego się nad nim chłopaka.

Dwudziestoparoletni, z grzywą wyfryzowanych włosów, jeansowa kurtka, wesoły wyraz twarzy. Chłopak zauważył, że starzec otworzył oczy. Mrugnął do niego beztrosko.

- Dziadek i tak już nie będzie tego potrzebował, nie?

Todd chciał coś powiedzieć. Naprawdę chciał. Jednak młodzieniec wyciągnął nóż i obrócił nim z uśmiechem.

- Pomóc, dziadkowi przejść na drugą stronę? Chyba mamy zielone światło. – Podniósł wzrok i pojrzał w kierunku wylotu uliczki.

Zniszczony mężczyzna patrzył chwilę, na stojącego nad nim młodego człowieka. Wsluchiwał się w spokój, jak panował w jego ciele. Tylko śmierć mnie uwolni. Uwolni raz na zawsze.

Skinął oprawcy głową i zamknął oczy. Nie odnotował żadnego bólu.

Dzieciak był zdolnym, złym człowiekiem.

A potem przyszły inne wici, półprzeźroczyste, podłużne, wijące się. Wypełzły z cienia i oplotły jego świadomość. Rok cierpienia, a teraz katusze po wieczność.

Jego ciało rozwiała się w coraz głębszym mroku wieczornym. Podobnie, jak nie pisano o Richardzie, tak i o Toddzie nikt nie usłyszy. Długie cienie wysokich budynków zdawały się wyciągać, chwytając stopy odchodzącego szybko chłopaka.

Za drzwiami na końcu uliczki dało się słyszeć cichy pisk. Samotny szczur przebiegł przez niewielkie pomieszczenie, w którym nie było nic prócz dwóch krzeseł. Nic. Pusto.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Sfora, dodano 23.09.2012 08:30

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.